

WŁADYSŁAW ORKAN

GODY

Władysław Orkan

Gody

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844038

Gody:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	4
Конец ознакомительного фрагмента.	9

Władysław Orkan

Gody

I

Ludzie po sumie wysypali się z kościoła. I wbrew swemu zwyczajowi, nie zatrzymują się koło sklepów, nie stają gromadkami na rynku, ale każdy leci w swoją stronę. We wszystkich kierunkach od kościoła idą, rozsypują się po kamieńcu, mijają jedni drugich, spychają się z ław, a co które, to szybciej zdąża ku swojej chałupie. Pędzą ich różne powody, niemniej wszystkie nader ważne. Raz, że to „godnie święto”, Narodzenie Pańskie raz do roku musi się różnić od zwykłej niedzieli, powtórę, większa część ludzi, którzy zdalsza przyszli, nie miała nic na zębie od wczorajszej wilji... Przyszli na jutrznię, a tu rano jedna msza po drugiej – więc żal im było odchodzić i zostali na sumę. Zato w chałupie czeka ich suty obiad – toż lecą na zabicie.

Przez pusty, biały dział, przecięty dwoma potokami, a podnoszący się stromo ku wysokim Groniom, sypią się ludzie ścieżyną wąską, długim, czarnym sznurem... Idą jedni za drugimi, dyszą ciężko, a nie ustają.

Tam, w górze, przy sinych lasach ślęczą ich chałupy poprzyczepiane, jak szare gniazda jaskółcze pod strzechą.

Do nich stermią się pod górę wygłodniali od rana ludziska; nawet starzy ciągną za sobą zmordowane nogi, robią pierściami, jak miechem, a nie ustają... Gdyby tak zajrzeć skrycie w myśli każdego, toby można znaleźć wszędzie jednako nieokreślone pojęcie pragnień, mieszczące w sobie: ciepłą izbę, miskę pęczaków ze skwarkami i coś jeszcze... może rosół z ziemniakami, albo sztukę mięsa. To ostatnie niepewnie, bo na takie zbytki nie zawsze i myśli mogą sobie pozwolić. To jednak pewna, że i kazanie się zatarło, a ksiądz w ornacie zbladł „przy ontarzu” i mniej waży w ich obecnych myślach, niż pełna miska pęczaków, miłośnie skwarkami chwytająca za serce... „Człek żyje, aby jadł – i Panu Bogu się podobał” – dość często spotykane przysłowie, a „przysłowia są mądrością ludów”.

– O, ka hań to już Jędre!... – mówili ludzie, idący na samym ostatku, wskazując przytem przed siebie, gdzie rysowała się na działku smukła figura opiętego w chazukę parobczaka. – Leci, jak na złamanie karku...

– Chciałby jak najprędzej zasiać na wiesnę, temu leci – ozwał się z wiarą stary Szczepan.

– A wybyście to nie chcieli? – żartowała idąca za nim kumoszka.

– Dyćby każdy rad. Ale cóż? Młodszemu zawdy raźniej. Trudno wszyscy mają być pierwsi.

Rozsądną odpowiedzią zamknął gębę śpasobliwej kumoszce. Odwróciła się do dziewczyny, idącej w tyle.

– A ty Wiktuś, czemu ostajesz na zadku?

– Nika mi nie śpieszno – odpowiedziała hardo Wikta i gniewne spojrzenie rzuciła na działek, gdzie się czerniła chazuka Jędrka.

– Niech leci! – pomyślała. – Myśli, że go będę gonić... jutro!

– Wiktuś – ciągnęła kobieta, nie zrażona suchą odpowiedzią.
– Rówieśnice cię poodlatują i co będzie?... Patrz, ka hań to już Jadzia z Anielką! Pod samemi chałupami!... A nie wiesz to, że dziopy powinny dziś na wyścigi lecieć, coby w mięsopusty była o nie dobijacka...

– Nika mi się nie śpieszy... – odrzekła sucho.

– Taak? A chciałaś na jadwencie wesele zrobić. Nie śpieszyło ci się? co?

Głośny śmiech idących przodem zawtórował słowom złośliwej kumoszki. Wikta zacisnęła zęby i stanęła, odwracając się za siebie, choć nie było kogo wyzierać, bo już wszyscy przeszli. Śmiechy i docinki oddalających się wpadały zgrzytem w jej uszy. Złość ścisnęła jej serce i wypierała do oczu łzy, które staczały się po zaczerwienionem licu i spadały duże, jak paciorki, na gwiaździsty, śnieżny puch.

Ludzie odeszli ją i zostawili samą na białym dziale. Odwróciła za nimi głowę. Już dochodzili Gronia i tracili się po jednym, po dwóch... Wreszcie ostatniego chałupa skryła za działkiem.

– Trza iść – szepnęła. – Nic nie wystoję. Ale przecie nie będą dogryzać...

– O, ja głupia, sto razy głupia! – mówiła sobie idący. – Było mi nie wierzyć obertalowi, jażby nas był ksiądz od ontarza

odegnał... A tak – pośmiewisko i nic więcej. Każdy na ciebie patrzy, jakżebyś mu był co winien...

– Co oni mają do mnie? – rozogniała się coraz więcej. – Niech siebie patrzą, nie kogo!... Co ja komu wadzę?... Co ino wtóre idzie, to cię musi ugryźć. Ani w kościele nie stanij, ani na drodze nie podchodź, bo cię zaraz dożrą i uszczypią... A to bez tego przekłętego Jędrka! Teraz to ucieka, bo nie śmie spojrzeć w oczy... Kole go... A niech go kole! Ja se ta nic z tego nie robię...

Nie pomogło jednak „oscymanie”, ani żadne wewnętrzne perswazje, bo łzy gwałtem cisnęły się do ocz. Tak ich było pełno, że się ustanowić nie mogły... Przekonaną była, że go nienawidzi. I w tej nienawiści musiała ciągle o nim myśleć... Co za los!

Doszła powoli do chałupy. Nie czekali na nią z obiadem, bo już zaczęli z drugiej miski, kiedy weszła do izdebki. Matka zaraz poczęła na nią swarzyć, czemu nie przyszła odrazu po sumie...

– Dyć po sumie idę...

– Aha, po sumie... Kto wie, jakiej!

– Dyć-em z tatusiem wyszła z kościoła...

– Tatus już w chałupie od dawna... A tyś którądy szła, że cię nie widać?

– Prostą drogą.

– No, no... ino zawdy taką prostą drogą chodź, to wychodzisz!

...

– Co mam wychodzić?

– Nie wiesz, co? – zerwała się w gniewie matka. – Tyś zawdy szła prościusieńko, ino nie tam, kaj ludzie chodzą!... Potrzebno

ci było z Jędrkiem ostawać u kościoła? Cóżeś wygrała? To, że cię zabałamucił, niby to począł się żenić i zwłókł do jadwentu. Zapowiedzi wyszły, ludzie czekają... a tu nic!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.